Nr. 16. Lwów, — 1896. r. Wydawnictwa Rok XIX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10. ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca** i **Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8., i 23. oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce **pół**rocznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w **Ameryce** **połudn,**. w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora:

Właściciel i naczelny redaktor: M. Dzikowski — Chamski.

Od Administracji.

Prosimy o rychłe odsełanie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zadawniono rachunki, są bardzo uciążliwe dla wydawnictwa również, jak upominania się przez osobne karty korespondencyjne. Umieszczać chyba będziemy zmuszeni drukowany wykaz zalegających z opłatą w numerach pism naszych, bo opieszałość taka naraża nas na stratę. Wszelkie należytości nadsełać należy przekazami pocztowymi do *Administracji „Gońca i Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego 23.*

Od ręki.

= Handel jajami.

Międzynarodowy handel jajami przybrał w ostatnich latach olbrzymie rozmiary. Przytem popyt na ten towar nie zmniejsza się, lecz z każdym rokiem wzrasta, a przy staraniach nowe rynki zbytu można z łatwością wyszukać.

Dla rolników handel ten ma duże znaczenie, tem większe, iż nie wymaga wielkiego kapitału, który łatwo przytem amortyzuje się.

Na rynki międzynarodowe dostarcza jaj przeważnie Rosja i Austro-Węgry, a krajami zapotrzebowania są Niemcy i Anglia.

Prawie 90% jaj, spożytych przez miasta W. Brytanii, przywieziono z zagranicy.

Jaja dostarczane bywają w skrzynkach, mieszczących po 1,440 sztuk. Importerowie londyńscy wydają kupcom, jako wynagrodzenie za rozbite i zepsute podczas drogi jaja, premium, wynoszące 60 sztuk na skrzynkę.

Ceny jaj w Anglii w ostatnich latach pomimo zwiększonego dowozu, nie uległy zmianie Jaja, przywożone do W. Brytanii latem, są tańsze o 35—60%, niż zimą.

Do Niemiec, według danych urzędowych niemieckich, przywieziono w 1894 r. 796,091 podwójnych centnarów. wartości 68.464,000 marek, a w 1895 r. 835,650 centn., wartości 71.866,000 marek.

Z tej olbrzymiej cyfry dochodu potrącić wszakże trzeba wywóz z Niemiec, dosięgający w 1894 r. 7,200 podwójnych centnarów, w 1895 r. zaś 7,719.

Najlepszym dowodem, z jaką szybkością rozszerza się i wzrasta handel jajami, posłużyć może wywóz z Rosji, który w r. 1870 nie przewyższał 11 milionów sztuk, wartości 100 tysięcy rubli, a w r. 1894 wzrósł do 955 milionów, wartości 15,485,006 rubli, w roku zaś 1895 wynosił 1,411 milionów sztuk, oszacowanych na 19.775,000 rubli.

Na rozwój wywozu jaj w ostatnich czasach wywarło zniżenie taryfy przewozowej i zaprowadzenie nowej linii parostatków Ryga-Hamburg i Ryga-Antwerpia.

Wywóz jaj z Rosji skierowany bywa głównie do Austrji (zkąd są dalej wysyłane), Belgii, Anglii, Francji, Niemiec i Holandji.

Co zaś do punktów wywozowych, to są nimi porty bałtyckie i granica lądowa; porty czarnomorskie mniejszy pod tym względem biorą udział.

Najważniejszemi stacjami wysełającemi są na granicy lądowej Wołoczyska, z portów zaś Ryga. Jaja przez granicę lądową ekspedjowane są głównie do Austrji i Niemiec (Królewiec i Hamburg), zkąd przeważnie dalej są wysyłane.

Z Rygi jaja są ekspedjowane do Anglii (Hull, Gravesand, Ligth), Niemiec (Lubeka i Hamburg) i do Belgii. W ostatnich latach powiększył się handel jajami w stanie konserwowanym, to jest bez skorup, przyczem do przewozu używane bywają specjalnie *ad hoc* przygotowywane puszki blaszane. Tego rodzaju sposób przesyłania zmniejsza koszta przewozu. Jaja konserwowane znajdują zastosowanie w cukierniach, restauracjach i t. p. zakładach.

Z uwagi, iż popyt na jaja rok rocznie wzrasta, a nowe rynki zbytu ciągle przybywają, na handel tym produktem zwrócić u nas winny baczną uwagę osoby interesowane, a przedewszystkiem rolnicy, jako producenci.

Naturalnie, ważną tu rolę odgrywa prawidłowa organizacja handlu, polegająca na umiejętnem opakowaniu i przechowywaniu towaru, tak łatwo ulegającego zepsuciu. jak jaja, na zwróceniu uwagi na dobroć gatunku, na wyzyskaniu wreszcie umiejętnem taryf przewozowych

= Które rzemiosła mają swoich patronów?

Czterdzieści trzy rzemiosła mają za patronów świętych Pańskich; każdy cech wybierał za opiekuna takiego świętego, który trudnił się tom rzemiosłem. I tak: płatnierze wzięli za patrona św. Jerzego, piekarze św. Winifreda. golarze św. Ludwika, ogrodnicy św. Dorotę, księgarze św. Jana, introligatorzy św. Celestyna, piwowarzy św. Florjana, szczotkarze św. Antoniego, lekarze św. Kosmę, mydlarze św. Łucjana, stolarze św. Józefa, tkacze św. Pawła, farbiarze św. Maurycego, rybacy św. Piotra, złotnicy św. Eligiusza, kapelusznicy św. Wilhelma, rolnicy św. Izydora, myśliwi św. Huberta, prawnicy św. Iwona, ślusarze św. Prota, młynarze św. Arnolda, górnicy św. Barbarę, muzykanci św. Cecylię, malarze św. Łukasza, śpilkarze św. Sebastjana, garncarze św. Gaudentego, pasterze św. Wendelina, szewcy św. Kryspina, optycy św. Fridena, krawcy św. Bonawenturę, garbarze św. Klemensa, poborcy św. Mateusza, podróżni św. Rafała, szlifierze św. Bonifacego, żeglarze św. Krysztofa.

= Prasa amerykańska.

Wychodząca w New-Yorku „Evenig Post“, jeden znajpoważniejszych dzienników anglo-amerykańskich, ogłasza artykuł o amerykańskiej, a szczególniej new-yorskiej prasie, który i po za Stanami Zjednoczonemi zasługuje na uwagę. Zakładanie takich dzienników, jak „Herald“ „Tribune“, „Times“ — pisze „Evening“ — przy zręczności i pracy jednego człowieka, nie jest już dzisiaj możliwe. Każdy z tych dzienników zawdzięcza swoje powstanie energii jednego wydawcy, z małą drukarnią — i dopiero zwolna rozwijał się do dzisiejszej potęgi. Obecnie konkurencja jest tak wielką. a wydatki dziennika tak znaczne, iż można go zakładać tylko na wzór kolei żelaznej, albo fabryki, z wkładem jednego. lub dwóch milionów. Pomimo tego, z dwóch rodzajów powodzenia, jakie dziennik mieć może — finansowe i moralne — w zasadzie jedno jest tylko możliwe. Dziennik może napełnić kieszenie właścicieli. a być przekleństwem dla pokolenia, albo, przejęty najlepszymi zamysłami, może być za nudny, aby wielkie dochody przynosił. Nie ma własności na świecie, którąby było trudniej kierować... Tej trudności kierunku dziennika trzeba zapewne przypisać, iż nikt nie usiłuje ulepszyć jakości prasy new-yorskiej. Amerykańska prasa, z wyjątkiem szybkiego dawania nowości, jest najgorszą na świecie. Patrjotyzm i filantropia wydają corocznie miliony na nowe szkoły i wszechnice, nikt zaś nie pomyśli o ulepszeniu prasy, choć ona sto razy większy wpływ wywiera na charakter i uczucia ludu, niż wszystkie uniwersytety. W prasie amerykańskiej uderza szczególniej pewna, że tak powiemy, dziecinność. Illustracje w nich są dziecinne, dowcipy trywialne i przeznaczone głównie dla młodych ludzi i robotników. Ulepszenie jest tu konieczne i dzienniki muszą być pisane także dla dojrzałych ludzi. Zły wpływ dzisiejszej taniej prasy — kończy „Evening Post“ – odbije się całkowicie dopiero na następnem pokoleniu. Że czytelnicy takich pism sami są winni tego zdziczenia, staje się to dla niektórych jasnem, budzi się więc poczucie moralne i w niektórych dzielnicach New-Yorku powstały związki, niedopuszczające brudnej lektury do domowego ogniska.

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

(Portret zamieszczony w Nr. 14.) *„Gońca i Iskry“).*

(Dokończenie — patrz Nr. 15.)

„BRACIA SLUBNI.“

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach zasiedli przy drugim brzegu kobierca, oparty o tłum szlachty ciekawej, stał już stolnikowicz z łowczycem po lewej, a z panem Błońskim po prawej swej stronie, — zrobił się nagle szmer między gośćmi, tłumy się rozsunęły i weszła wraz z drużkami i starościną panna młoda do tej komnaty. Była ona piękna jak zawsze, a dzisiaj przez wspaniałość ubioru i

przejęcie się uroczystością chwili, jeszcze piękniejszą i miała coś tak wyniosłego i prawie imponującego w swej całej postaci, że już weszła i stanęła naprzeciw pana młodego, a on szmer podziwienia pomiędzy szlachtą jeszcze nie mógł ucichnąć. W krótkiej chwili atoli wystąpił z poza krzeseł kapelan, przysunął się do Barbarki i ujął ją delikatnie za rękę, spojrzał potem na rodziców, na gości, na stolnikowicza, a odchrząknąwszy i obróciwszy się wraz ku panu młodemu, zaczął swoją perorę w ten sens:

— Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

Pan Błoński odpowiedział na to: — Na wieki wieków; — a kapelan tak zasie:

— Niskiemu słudze znakomitego domu tego, a najniższemu w kościelnej hierarchii, powierzony jest mnie dostojny urząd oddawania panny oblubieńcowi. Akt ten razem z wieloma świętościami dawnego czasu idzie już dziś w poniewierkę i z każdym dniem coraz bardziej upada w dawnem swojem znaczeniu i wadze... a jako my sami z błogosławionych od Boga i duchem a sercem na wieczne zbawienie zarabiających rycerzy, staliśmy się ciałem grzesznem bez ducha, mięsem i trunkami żyjącem, tak i on obrzęd święty przyszedł do tego, że się stał wszędzie martwą li formą, z pustych słów uklejoną. Ale nie patrz ty na to, mój panie młody, co się dzieje na okół ciebie, nie patrz na złości i upodlenie tego wieku, a podniósłszy się duchem na one wysokości, na których stawali Gryffowie, patrz na spuszczającą się ku tobie Leliwę i słuchaj, co powiem. Oto jest dzisiaj dzień i ten moment, w którym dawno już uproszoną i przyrzeczoną do rąk własnych odbierasz upodobaną przez ciebie towarzyszkę przyszłego życia. Pannę samą, jako kwiat wiosny jaśniejącą wszystkimi promieniami młodości i życia, oddają ci j. wielmożni tu przytomni rodzice i mówią przytem: Bierz, szanuj jak matkę, kochaj jak siostrę i prowadź jak dziecko twe własne przez przepaściste drogi tego ziemskiego życia.

Na te słowa ostatnie Barbarka uśmiechnęła się ironicznie; niektórzy to uważali, drudzy na oratora li patrząc, nic nie widzieli, a staruszek tymczasem tak mówił dalej:

— Owo w dziedzińcu stoją fury ładowne, są w nich srebra, klejnoty, złotogłowia i różny sprzęt drogocenny; za furami pójdą dobytki, a za tem wszystkiem później obszerne ziemie i gotowizny; to jest posag, który rodzice przydają do dziecka, oddają tobie w ręce, i mówią zasie: Bierz to i rządź tem wedle twej woli: niechaj dobytki nasze użyźniają twą ziemię, niech skarby nasze podsycą twe skrzynie i niechaj się mnoży to wszystko pod łaską Bożą w nieskończoność, ażeby wam obojgu nie zbywało na niczem w tem życiu, ażeby się głodny przy was nakarmił i napoił łaknący i ażebyście dzieci wasze zostawili w tym statku, w jakim was zostawili ojcowie. Ale za tem dzieckiem, które tu widzisz przed sobą, mój panie młody, idzie jeszcze i drugi posag, daleko od tamtego ważniejszy i droższy, o którym nic nie wspominają rodzice, a który wyliczyć i oddać tobie w ręce moim jest obowiązkiem. A posagiem tym jest ów promienisty splendor i odwieczna sława tego znakomitego rodu, z którego wychodzi tobie się dziś oddająca dziecina; a posagiem tym jest ona niepokalana cnota, która zwalisto się rodząc w tej dostojnej Leliwitów dzielnicy, od niepamiętnych czasów nietylko złotemi promieniami oświecała ich miecze, ale nieprzeliczone blaski także roznosiła po świecie przez swe kądziele. Sławy onej olbrzymiej, którą niezliczeni tego świetnego rodu rycerze przez tyle wieków na swych mieczach szerokich ze wszystkich stron świata naznosili pod starożytną tarczę Leliwy, ja wyliczać nie będę... albowiem *tacet de Achille qui non est Homerus.* Nie będę więc przypominał, że protoplastowie tego rodu w egipskich śpią katakombach, nie będę wyliczał tych, którzy z wyniosłymi wojowali grekami, ani tych, którzy rozpustą spodlone bijali rzymiany; tem mniej to potrafię, ażebym owych Leliwitów tysiące, które pod przenajświętszem Krzyża Chrystusowego znamieniem żywoty swoje kładli, godnie zaprezentował; a niechaj mnie w tem zastąpią one księgi przesławne, które o tych rycerzów dostojności i sławie piszą, a które ty, panie młody, w każdej chwili spokojnej bierz do twej ręki i czytaj w nich one rzeczy nieporównane, dzisiaj przez oto tę dziecinę niepospolitą swą częścią w dom twój się przenoszące. A kiedy będziesz czytał one księgi przesławne i umysł twój olśnie od owego słonecznego blasku, który tę starożytną otacza Leliwę, nie myśl, mój panie młody, ażeby to był już ten skarb wszystek, któren się z nią razem w twoje dostaje ręce. Nie myśl tak, albowiem to jest dopiero jego połowa. Białogłowy pod tą promienistą zrodzone tarczą, w niczem nie ustępowały swym braciom, a jeżeli oni z mieczem w ręku zapędzali się w da lekie tej ziemi kraje, ażeby tam coraz nowe laury zdobywać i znosić pod wspólną strzechę, to one umiały z całą skrzętnością i powagą, jaka bogobojnym niewiastom przystoi, utrzymywać w wiecznej świeżości te wieńce, splatać je ze starymi, nasiona z nich zbierać i zasiewać niemi żyzne serca swych dzieci. Nie potrafią nigdy moje usta nieudolne wypowiedzieć tych cnót niezliczonych, któremi błyszczą wszystkie Leliwitki w przeszłości. Cyjeż serce bowiem sprosta onej pół świętej bogobojności, która stanowiła treść żywotów, onej skromności anielskiej, z którą od ołtarza wracając, raz na zawsze wyrzekały się wszelkich uciech i błyskotek doczesnych, onej miłości nakoniec, która jako drugi stróż anioł pilnowała serca i sumienia swojego męża i pana, która białem swem skrzydłem odganiała wszystkie ciemne myśli od niego, która jako gwiazda biała unosiła się wiecznie nad jego głową, towarzyszyła mu we wszelkich sprawach, oświecała niewinność przed jego sąd postawionych, objawiała nędzę pomocy od niego łaknących, wstawiała się za pozbawionymi łask jego, strzegła jego mądrości na sejmach, jego przytomności na kołach, dodawała odwagi w boju i niewczesne chłodziła zapały w niebezpieczeństwach! Kto wyrówna takiej miłości, która sama pod niebytność męża całym rządziła domem i rozległą fortuną, która umiała własnoręcznie pielęgnować nędzarze, karmić głodne i napawać łaknące, która pod swoją opiekę brała wszystkie wiejskie sieroty, która umiała pomimo to ani na chwilę nie spuszczać z oka i serca swych dzieci i przy tem wszystkiem tyle jeszcze oszczędzać czasu od swych zatrudnień, ażeby jej własnoręcznemi robotami przyozdobione były ołtarze wszystkich parafjalnych kościołów! Te, którem tu wyliczył, serca i umysłu przymioty zdają się już być ogromem; a przecie to nie jest jeszcze połowa onych skarbów wybornych, któremi zwykła błyszczeć dusza tych Leliwitek. Umiały one bowiem nieraz przyrodzonym rozumem przenosić męże z mądrości w narodzie słynące, umiały naukami wyrównywać najsławniejszym uczonym, umiały męztwem słynąć rycerskim, a rzadko z nich która, coby w swojej młodości dzikich nie dosiadała rumaków, nie strzelała celnie z samopału, nie potrafiła całej swej siły zestrzelić w rękę i pałaszem zawładnąć. Nigdy jednak się nie zdarzyło, aby ta przyrodzona krzepkość ich ducha zatarła sobą dobroć i uległość ich serca, a lubo nieraz bywały wypadki, że która z nich na swym zamku męża swego w hetmaństwie nad załogą musiała zastąpić, toż przyczyniwszy przez to nowy listek sławy do wieńca koronującego Leliwę, w skromności swej i anielskiej pokorze żadna się tem nie chełpiła i poddając siebie i losy swoje pod rozkazy swojego męża i pana, każda z nich była niezrównanym wzorem najlepszej matki i żony. Takie usposobienia znajdują się w Leliwitkach, taki posag moralny dawać zwykła ta starożytna pani swym córkom; takiż sam posag, lubo jeszcze *in crudo* na dnie duszy i serca spoczywający bierzesz i ty, panie młody! Bierzże więc i pamiętaj, że ci dają do rąk bryłę szczerego złota, że ci dają klejnot najpierwszej wody. Złoto to nie jest jeszcze brantowne, kamień to nie doprowadzony do najjaśniejszego blasku, skarb ten bowiem był dotychczas w domowej zamkniety komorze i owiniony w opiekę i miłość rodzicielskiego serca: ty go dzisiaj z tej komory na świat wielki wynosisz, ty go z onych pieluch niemowlęcych rozwiniesz i do słońca postawisz; pamiętajże na to, ażeby kiedy weń promienie ludzkiego wzroku uderzą, nie topiły się w skazach jakich i plamach; jeno żeby się odeń odbijały w takiej jasności i blasku, w jakich świeciły przez tyle wieków! *Crescite ergo et multiplicamini, et multiplicetur in vobis* ou splendor starożytny, *multiplicentur* dostojności i cnoty, ażeby wam była sława i cześć po ostatni dzień życia waszego, a po nim wrota otworzone do przybytku Pańskiego i wieczne z jego ręki najświętszej zbawienie.

Tak skończył kapelan. Tymczasem pan chorąży sanocki, swat niegdy stolnikowicz, a teraz tuż przy jego boku stojący, pokłoniwszy się kapelanowi głową, lekko wąsa pokręciwszy i poprawiwszy wylotów, z przyzwoitą powagą i gestykulacją zaczął w ten sens:

— Starym obyczajem pradziadów naszych, które w tym bogobojnym ziemi naszej zakątku nie poszły jeszcze w zupełną poniewierkę, *summa pietate devoti,* my, *primus* tego nowego marjażu *motor et* dziewosłąb, ze czcią i uszanowaniem przyjęliśmy na siebie obowiązek w imieniu tu przytomnego pana młodego, przyjmowania, odpowiadania i dziękowania *pro ineffabili honore,* którego w dniu dzisiejszym waleczny Gryff doświadcza od strzelno-promienistej Leliwy. I prawda! rzadko komu przy końcu chwalebnego i pełnego czynów walecznych żywota tyle *lucet* jasności, ile ich świeci Leliwitom już przy samej kolebce. Prawda! protoplastowie rodu tego, którego imienia nigdy bez czci i poszanowania nie wymawiamy (tu się pan Błoński zgrabnie podkomorzemu ukłonił) — śpią około piramid, późniejsi wojowali z grekami, bijali rzymiany, a ich wnukowie do blasku swoich starożytnych gwiazd i księżyców słońce Krzyża świętego dodawszy, stali się i są do dziś dnia jedną z najświetniejszych ozdób tej ziemi, która tysiącami samych najwyborniejszych świateł jaśnieje. Ale jeżeli pomiędzy temi światłami jedno z najprzedniejszych miejsc *tenet* promienista Leliwa, toż tam w tej chwalebnej hierarchii *non humiliorem locum* dzierży i Gryff starożytny, *unguibus et rostro contra hostem armatus.* Gryff ptak wspaniały, błękitnemi i złotemi piórami pancerny, w merydjonalnych tylko regjonach *patriam suam* mający i w gorących piaskach pustyni *prolem suam* wywodzący, a dziś już *ut ajunt* ornitologowie, całkiem już z tej ziemi wyrugowany, Gryff mówię, sam to dostatecznie zaświadcza, jak starożytnym musi być ród ten, który się pod jego znakiem urodził skrzydlatym. A jak walecznymi w boju być musieli tego znaku rycerze, dowodzi Aristaeus, autor pogański, na sześć wieków jeszcze przed Narodzeniem Pańskiem żyjący, który *ges longum et latum* opisuje one sławne wojny, które ten ptak starożytny, złotych kopalni swoich strzegący, z jednookim arimaspów narodem przez długie wieki prowadził, a to z takim skutkiem, że to skytyjskie pokolenie nakoniec od jego broni wyginęło do szczętu. Późniejszymi czasy, chorągiew, tym czworonożnym orłem ozdobna, także nie spoczywała: i widzimy ją w Grecji, widzimy na ruinach zwycięzkiego Rzymu, widzimy pomiędzy sztandarami sasów i niemców, aż nakoniec nam się jawi w służbach u Bolesławów i w całej świetności a blasku bije niemce pod Grunewaldem. I ta pamiątka już nam jest najmilsza, bo tutaj pod onym lwem skrzydlatym, złotemi literami wyryte, jaśnieje imię pana Zygmunta *comitis de* Bobowa, a w prostej linji pra-pradziada, oto tutaj przed wami stojącego pana młodego. Dalszych dziejów tego sławnego rodu opowiadać nie będę, bo któż jest w stanie przytoczyć choćby jeden taki plac boju z całego ciągu naszej historji, na którym przynajmniej pułk jeden nie był wystawiony sumptem jmć panów Bobowskich? A że ten ferwor ku służbie rycerskiej, któren tak świetnie jaśniał pod Warną, jak pod Chocimem, Cecorą i Kircholmem, i do dziś dnia w tej samej sile żyje we krwi tego pokolenia, świadkiem będą ci wszyscy, którzy wiedzą, że jeden tego rodu potomek, któremu młodość wypadła w czasy ciche i spokojne, kiedy się wojny nie mógł doczekać w kraju, poszedł i znalazł ją na kresach!

Na te słowa szmer przyznający i niby pochwalny dał się słyszeć pomiędzy przyto-

innymi; stolnikowicz skromnie spuścił oczy ku ziemi, a pan chorąży tak mówił dalej:

— Więc tuszymy sebie i mamy tę nieomylną nadzieję, że chociaż ten Gryff nasz ukochany, nad którego głową sam żywy księżyc nie świeci, nie sprosta w świetności promienistej Leliwie, jednakże walecznością swoją potrafi w przyzwoitym blasku utrzymać oną sławę wiekopomną, która teraz do jego domu spływa, a jako żaden promień jeszcze, któren po kądzieli wpłynął pod strzechę Bobowskich, w chmurach lub ciemnościach nie zginął, tak i ten świecić będzie w czystości swojej po wieki wieków. Co tedy oddawna jest najgorętszem serca naszego pragnieniem, a co się dziś ze wspaniałej łaski waszej nam ziszcza, przyjmujemy najpierw w serce nasze i progi, a potem dziękujemy wam jm. rodzice i prosimy, ażebyście tu o nas byli sobie spokojni, nie tęsknili bardzo za nami i łez nie wylewali obfitych: my bowiem, chociaż się od was oddalamy, pamięcią, miłością i posłuszeństwem zostajemy przy was na zawsze, a całem naszego życia staraniem będzie, ażebyśmy mniej żyli dla siebie i świata, a więcej dla was, i stali się pociechą i podporą waszej, oby to dał Bóg! jak najdłuższej i najweselszej starości. Czego życzę z całego serca — dodał pan Błoński, kłaniając się podkomorstwu, stolnikowiczowi i Barbarce — czego życzę z całego serca w mojej i całej tu zgromadzonej kompanji imieniu!

Na to powstał znowu szmer przyznający w całem zgromadzeniu, niektórzy nawet głośno wymawiali: Życzymy! winszujemy, daj Panie Boże! — za co podkomorzy z podkomorzyną, z miejsc swoich powstawszy, kłaniali się gościom w tę i ową stronę, goście zaś im się kłaniali i to trwało przez długą chwilę. Wśród tych ukłonów atoli stolnikowicz, wziąwszy pannę młodą za rękę, przystąpił do rodziców i rzucił im się do nóg z nią razem; w ten moment też ustały pokłony, a poczęły się błogosławieństwa. Błogosławili tedy najpierwej wśród łez i głośnego płaczu rodzice, kładąc ręce swoje na głowach obojga młodzieży, którzy ich ściskali za nogi, . błogosławiły potem stryjenki i ciotki, błogosławili wujowie, a wszyscy ze łzami w oczach i niezrozumiałemi słowami w ustach, aż kiedy się państwo młodzi onemu stuletniemu staruszkowi rzucili do kolan, wstał tenże ze swego krzesła i laskę swoją opuściwszy na zaścielony kobierzec, podniósł obiedwie ręce nad ich głowami i bez łez w oczach i gardle, chropawym, trzęsącym się głosem powiedział te słowa:

— Błogosławię was, dzieci moje! Trzymaj, panie Bobowski, Karsznicką, ażeby w czasie nie stała się ona mężem, a ty żoną, bo wielkie w tych kobietach bywają za regimentem pochucie; pilnuj, panno, twojego męża bo Gryffowie, acz rzadko giną od strzał, które ich trafiają na polu Marsa, często jednak pod strzałami upadają, które rad do nich wypuszcza Kupido. Silnie się tedy musi trzymać waleczny Gryffus, biorąc za żonę Leliwę; bacznie się opatrywać musi Leliwa, biorąc za męża Gryffa. Tę przestrogę przyjmijcie ode mnie starca, który już miljony widział kolebek, miljonom przypatrywał się marjażów i miljony trumien pogrzebał. Ale że się przeciwnościom tego świata obronić i wiktorję nad niemi odnieść potraficie, tuszę po waszej miłości i wzajemnych cnotach waszych.... więc błogosławię was do tej walki i życzę, ażeby wam się stało tak długie szczęście, jak długiem jest moje życie.

Ta krótka, ale niezwyczajna perora stuletniego starca, niemałe zrobiła wrażenie na wszystkich. Powiedziana nad głowami klęczącej pary głosem twardym, chropawym, urywanym i jak gdyby wychodzącym z za grobów, zdawała się ona raczej jakąś fatalną być przepowiednią, niżeli błogosławieństwem. Wstali też z pod niej smutni i z zaschłemi na twarzach łzami państwo młodzi, a wstawszy, oczu nie mogli podnieść do góry; Błoński, kapelan i kilku innych starszych, a dobrze domowi życzących, aż się poodwracali od mówcy. Podkomorzy stał chwilę w osłupieniu i to obawa jakaś pomieszana z boleścią, to niechęć malowała się naprzemian na jego twarzy, podkomorzyna zaś sama, łzy coraz obfitsze lejąc, nakoniec w głośny płacz wybuchnęła. Co gdy się stało, wrażenie, które zrazu ogarnęło wszystkich, jeszcze się wyraźniej odbiło; niektórzy z gości poczęli się rozwlekać po tej i innych komnatach, drudzy zgromadzili się w kółka i coś z sobą gwarzyli, a w jednem z takich kółek pan Rossowski z Myczkowa, mąż naukami różnemi, a głównie astrologją się zabawiający, dowodził półgębkiem wprawdzie, ale dobitnie i jaśnie, że w konstelacji herbowych znaków tych domów obudwóch ominując, żadnym sposobem nie można wywróżyć szczęści dla tego małżeństwa. Przeczył jemu stanowczo pan Jundziłł i argumentami zdrowego rozumu, jak taranami, walił w misterne wymanierowanego dowcipu budowy, ale pan Rossowski, jak ono dziecię, które budki z kart stawia, kiedy mu jedną powalono, stawiał wraz drugą i nakoniec nie utrzymywał koniecznie, że w przyszłych walkach ta, albo owa strona paść musi, ale też i nie odstąpił od tego, że musi tam być niezgoda i bój pod tą strzechą, pod którą Gryff się połączy z Leliwą....

W zahoczewskim dworze podtenczas było cicho, jak zawsze, gołębie po staremu wespół z domowym brytanem przechadzały się najspokojniej po dziedzińcowej murawie, żadne przed gankiem nie stały zaprzężone powozy, sługi się nawet nie kręciły po sieniach... a przecież i tu być miało wesele.

Miało być i było. Ledwie bowiem panowie młodzi weszli na górne pokoje, wpół pacierza można ich było już widzieć wychodzących napowrót wespół z maleńką tego wesela drużyną. I ciągnęła się ta drużyna pieszo przez dziedziniec i bramę, przez kładkę na maleńkiej rzeczułce leżącą, przez wieśno łąki i sady prosto ku drewnianemu kościółkowi, na zielonym pagórku stojącemu.

Ale i domek ten Boży nie przyjmował ich żadnemi oznakami niezwyczajności. Stał on sobie, jak zawsze cichuteńko, pomiędzy starymi jaworami, które górnymi konarami swymi po nad jego dach się przeginały, po jego dachu i po dzwonnicy niespokojnie przelatywały kawki i wrony, zaglądając w czerwonawo zachodzące za lasem słońce i wróżące wiatry i niepogodę; nikt z ludzi nie stał około bramy, nikt pod dzwonnicą, żadne twarze ciekawych nie wyglądały z kościółka, a przychodzących witały tylko drzwi przez połowę otwarte i małe krzyże drewniane, na około kościoła na grobach zapadłych stojące, popróchniałe, w zwiędłą zieleń poowijane i w różne strony starością swoją i zapomnieniem ponachylane.

W pół otwarte drzwi kościółka rączo weszli ci weselnicy. I weszła naprzód Julja z Grottem, pod ramię ją prowadzącym, za nią pan Stanisław pannę służebną Julji przy sobie wlokący, za nimi pani łowczyna ze starym Dzianottem, a nakoniec Pakosz, w ogoniasta suknię ubrany i ogon tego weselnego zastępu czyniący.

Prędkim krokiem przystąpili wszyscy przed ołtarz, na którym bladem światłem jaśniały dwie świece woskowe, robionemi różami wpół przewiązane, a przed którym na krześle siedział ksiądz staruszek, pleban hoczewski, ten sam, który niegdyś przyjmował wota braci ślubnych w swoim kościele. Na widok weselników, staruszek powstał i powitał ich ukłonem, ale pan łowczyc, który się ciągle oglądał, jak gdyby nad nim gorzało, mało zważał na te ukłony, i zaraz dobył indult z kieszeni i oddał go księdzu. Ksiądz papier odebrał, włożył na nos okulary, pismo półgłosem przeczytał, i spojrzawszy na pana młodego, zapytał:

— A spowiadałeś się, panie młody, i przyjmowałeś Przenajświętszy Sakrament?

— Tak jest — odpowiedział łowczyc — spowiadał i komunikował mnie ksiądz z Żernicy.

— Hm! — rzekł na to do siebie staruszek, wychodząc na najwyższy stopień ołtarza — hm!... nie było to do Hoczewki przyjechać?

Ale ponieważ zresztą żadnej innej kanonicznej przeszkody nie było, ślub się odbył w mgnieniu oka, a weselnicy, przyjąwszy od plebana krótką i zwięzłą gratulację i powiększywszy nim swoje niewielkie grono, szybkim krokiem powrócili do zamku.

W zamku czekała już na nich zastawiona cukrowa wieczerza, ale pan łowczyc ani spojrzał na ten stół, światłem, kwiatami i różnymi wybornymi cukrami ozdobny, którym się rad był przed całym światem pochlubić pan Dzianott — pan łowczyc ani się patrzył na to wszystko, jeno pokręciwszy się tu i ówdzie, poprosił, aby mu kielich podano, spełnił nim zdrowie rodziców swej żony, odebrał napowrót zdrowie państwa młodych, pogadał coś z matką swoją staruszką, oddał pod jej opiekę Julię, zostawił im swoją pięciokonną landarę, ażeby nią nazajutrz do Żerniczki jechały, pocałował potem w rękę swą żonę, pokłonił się domownikom i wraz ze swoim drużbą wsiadłszy na koń, pędem się puścili napowrót ku Balogrodowi.

„WNUCZĘTA".

Racibor tymczasem, trzymając między kolanami to złoto, za którego dostaniem dziewięć dni i nocy strawił w najusilniejszych trudach i pracy, puścił się jak sztrzała szlakiem zrobionym przez wysłane naprzód fornalki, a chociaż szlak ten już przez połowę był zasypany i nieraz tak się zdarzało, że w jego oczach w jednej prawie sekundzie położyła się zaspa przed końmi, to jednak konie szły z dobrą fantazją, a sanie sunęły za niemi tak lekko, że Racibor już się naprzód cieszył swem szczęściem i począł myśleć o tej chwili, w której z workiem złota w ręku pojawi się nagle, jako zbawca nieszczęśliwej Kamilli. Atoli zaledwie tysiąc kroków ujechali za wieś, już coś czarnego zamajaczyło przed nimi, a siwy koń, przystrzygłszy uszyma, zadarł głowę do góry i zarżał za wichrem. W kilka też minut dojechawszy do tego majaka, poznali oni, że to była jedna z wysłanych fornalek, która, zatopiwszy się w zaspie, szamotała się na wszystkie strony, nie mogąc się z niej na żaden sposób wydobyć. Ostafi zaśmiał się klnącemu fornalowi w oczy i powiedziawszy mu, żeby wydobywszy się się z zaspy, prosto do domu powracał, ominął go bez trudności i posunął dalej. Wszakże kilkaset kroków dalej, znowu siwy koń rżeniem dał znać, że kogoś zdybują, — i była to znów druga fornalka, która ugrzęzła i zatopiła się w śniegach.

— Coś źle, mój Ostafi! — spytał Racibor, widząc, że tak tamte konie się topią.

— A źle, jaśnie panie, dał-by jeno Bóg, żeby nie było gorzej, — odpowiedział Ostafi i ominąwszy w ten sam sposób i drugą fornalkę, jak pierwszą, pojechał dalej.

I tak wśród burzy, huczącej po stepie i miotającej całemi płachtami śniegu, ujechali oni jeszcze może pół mili. A kiedy się znaleźli na gołym stepie i nigdzie naokoło nie widać było ani wsi, ani lasu, ani drzewka nawet żadnego, tylko morze śniegu bez granic i końca i całe chmury takiegoż samego śniegu, to ciągnące jak gdyby wojska jakie stronami, to przewalające się z sobą po ziemi, to przelatujące z szumem i świstem przeraźliwym po nad ich głowami i Ostafi zwolnił koniom cokolwiek kroku, ażeby się dobrze opatrzyć gdzie się znajduje: nagle, jak gdyby mocą czarodziejską zaklęta, zerwała się burza piekielna.

Kto nie był nigdy na Podolu śród tęgiej zimy i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się z ziemi i potem pędzą z całą wściekłością dzikiego elementu przez step, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie będzie umiał nawet wyobrazić, jaka burza spotkała Racibora w połowie drogi. Było to bowiem coś takiego, przeciwko czemu wszystkie najwścieklejsze niepogody innych okolic zaledwie się mogą nazwać zabawką rozdrażnionej przyrody. Tam ze stron wszystkich odrazu zerwały się najwścieklejsze orkany i od razu zaczęły swoją grę piekielną. Patrząc na to, nie można było wiedzieć co to się dzieje; w oka mgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżeć i trząść od przestrachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową, a zdala dochodziły uszu jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy nie słyszanych harmonji, jak gdyby tam gdzieś

zapadało się niebo, pękała ziemia i otwierały się paszcze piekieł podziemnych. Tymczasem tutaj wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziej stawały słupy śnieżne, kręcąc się w około jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupa ziemi i z zamarzłemi grudkami piasku niósł go światami. W tej też chwile było tak, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy, czasem cała zaspa śniegu spadła pomiędzy nich obydwóch do sani, czasem cała góra biała, jak gdyby upiór powstający z pod ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiej siły, rysak pruł śnieg przed sobą i łbem i piersiami i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach to wskakiwał w głęb tej drogi puchowej, to wyskakiwał znów na wierzch, a sanie ręczo pomykały naprzód.

Pomimo to wszakże, iż jazda zdawała się im iść dosyć rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali wśród tych wściekających się wichrów i zamieci, obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! niedobrze; kto wie, co tu będzie.

Przerażony tą uwagą Racibor podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie; nie widząc tedy nic prawie, Racibor spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniej, gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na grafowskiej granicy, bo oto dopiero co błysnęła mi po prawej stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami, — odpowiedział kłapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się, mój Ostafi, i ruszaj!

Ostafi też ruszył lejcami, zagadnął po swojemu do koni i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wścieklej i groźniej i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło się tak ciemno, jak śród nocy i nie było widać, nawet ręki trzymanej przed nosem. Ujechawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Panie! źle!

— Co znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypłym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jeno nie ustanie, — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor. — Nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał Ostafi i kuląc się coraz niżej na koźle ruszał jeszcze, ile miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniej, bałwany śniegu marznącego w powietrzu z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu i podczas kiedy w górze było słychać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących ze skrzypiącym szumem, jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwytał ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz powolniej i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśleć o tem, coby tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwierać, a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami po prawej stronie wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się, iż słyszy jego parskanie.

Aż też w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek i zdawało się, że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzył przed siebie, lecz nie mógł nic widzieć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziej ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzeć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg go już przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom, a Ostafi stał po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiej rysakiem, i skostniałą ręką ze skórzaną nahajką trzymając w powietrzu, szklanemi oczyma patrzył na straconą ostatnią nadzieję. Ale przytem wszystkiem zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzew i pałac Kamilli, który wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi zastygłej zbiegła mu do serca, wściekła rozpacz zaglądnęła mu w oczy, lecz przecie jeszcze miał tyle przytomności, że zlazł z sani i zawołał:

— Ostafi! co to jest?

— To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzłym głosem, a w tem wicher mroźny wionął mu w same oczy, przejął całe ciało jego do kości i Ostafi zakrzepł tak, stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się nakoniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nie odpowiedział już nic, bo w jego piersiach nie było już oddechu i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu wyobrażająca postać człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzył przed siebie i chciał myśleć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklejsze orkany bity prosto w twarz jego, oddech zamarzł mu na ustach i członki kostniały coraz mocniej, i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: To śmierć.

A tymczasem koń siwy, szamocząc się coraz słabiej przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąść worek ze złotem i puścić się pieszo w dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone dziesięciodniową bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojej usługi. W tej ostatniej rozpaczy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jedną godzinę przytomności i siły, ale modlitwa mu zamarzła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaszką. A wtem znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego i znowu zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą pałac Kamilli, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach... Ale to był ostatni już widok jego za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszeć na nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu też i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, a wtem uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta i w kilku minutach potem stanęła nad tymi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na której poczęły hulać wichry stepowe, śpiewając i świszcząc najdzikszemi tonami jakąś piekielną harmonię...

Wyspa kwiatów.

Rząd brazylijski dla wychodźców polskich, przybywających do Rio de Janeiro przeznaczył dwie gospody: jedną przy linii kolejowej wiodącej do St. Paulo w odległości około 170 kilometrów od miasta, drugą w zatoce Rio de Janeiro na tak zwanej „wyspie kwiatów" (ilha de flores).

Odwiedźmy „wyspę kwiatów", o której oddawna po mieście krążą jak najgorsze wieści. Najpierw należy się wystarać o osobne pozwolenie, bez którego nikogo na wyspę nie puszczą. Kto chce zrobić wycieczkę na wyspę, powinien zawiadomić o tem na 24 godzin naprzód inspekcję emigracyjną, która tym sposobem ma czas poczynić rozmaite przygotowania, o ile takowe uzna za potrzebne.

„Wyspa kwiatów" oddalona jest o dziesięć kilometrów od Rio de Janeiro, ma tylko kilka kilometrów rozległości, bujną roślinność i zdaje się mieć dość zdrowe położenie. W d. 6 marca r. b., t. j. w czasie, gdy autor tych notatek zwiedzał wyspę, znajdowało się na niej 1,600 emigrantów, pochodzących przeważnie z Galicji.

Gospoda, leżąca nad brzegiem morza, składa się z budynków mieszkalnych dla emigrantów, magazynu na pakunki, domu kancelaryjnego, kuchni, apteki, baraku szpitalnego i warsztatu ciesielskiego. Budynek mieszkalny zawiera cztery sale na 400 osób i dwie mniejsze. Sale pier wszego piętra posiadają dość świeżego powietrza, które dostaje się przez otwory porobione w murze pod dachem, wentylacja sal parterowych jest natomiast niedostateczną. Okien nie ma wcale, lecz spora liczba drzwi stoi zawsze otworem. Niektóre sale nie mają wcale mebli, w innych stoją rzędem równe, drewniane tapczany. Sypialnia taka na pierwszy rzut oka przedstawia obraz nader smutny. Wszędzie widać rozrzuconą pościel, rzeczy w nieładzie, brudne korzuchy, resztki potraw, wycieńczone dzieci i kobiety. Klimat wprawdzie pozwala przepędzać dni całe na świeżem powietrzu i to całe szczęście emigrantów, chociaż tropikalne upały w południe owe siesty czynią często nieznośnemi.

Wychodźcy żalą się na złe sporządzanie potraw, na złe mięso i obrzydliwą zupę. Rano dostają kawę, w południe i wieczorem zupę ryżową i mięso z fasolą, w piątki zaś zamiast mięsa sztokfisza. Rząd związkowy utrzymuje, iż wyżywienie jednej osoby kosztuje go 1 milreis i 100 reisów dziennie. Prawdziwą plagą „wyspy kwiatów" jest brak wody do picia, którą trzeba przywozić z Rio de Janeiro. Wody tej nigdy nie wystarcza dla pragnionej rzeszy, zmuszonej z tego powodu używać mętnej i brudnej wody z cystern. Urzędnicy nie pozwalają wychodźcom prać bielizny w wodzie słodkiej, lecz tylko w słonej wodzie zatoki, lub w kadziach. Brak wody jest przyczyną brudu i wpływa najgorzej na stan zdrowotny. To też cyfra śmiertelności jest, tu niezwykle wielka. Co dzień zdarza się pięć, lub sześć przypadków śmierci, przeważnie między dziećmi.

Barak szpitalny, urządzony na trzydzieści łóżek, zajęto w połowie dla dzieci. Należy także zwrócić uwagę i na to, że wielu chorych leży w sypialniach wraz ze zdrowymi. Wszyscy wychodźcy galicyjscy w ogóle wyglądają źle, znękani długą morską podróżą, zmianą klimatu, odmiennem pożywieniem i brakiem wody do picia. Ujrzeć tu można co krok bezsilnie kobiety z apatycznym wzrokiem i konające dzieci. Widok ten musi obudzić uczucie litości w najtwardszem sercu. Lekarze utrzymują, iż emigranci boją się szpitala i ukrywają chore dzieci. Jest w tem pewnie trochę prawdy, nie tłómaczy to jednak lekarzy, którzy przez wzgląd na zdrowie wszystkich, powinni pilnie przestrzegać, by wszyscy chorzy znaleźli stosowną opiekę i byli izolowani od reszty emigrantów.

Biedni wychodźcy w ostatnich chwilach pozbawieni są nawet pociechy duchowej, bo na wyspie nie ma kapłana, a urzędnik brazylijski mało co robi sobie ze śmierci emigranta, gdyż barki parowe, stojące do jego rozporządzenia, mogłyby przywieść z miasta księdza, któryby udzielił ostatnich Sakramentów umierającemu.

Na stosunki, panujące na „wyspie kwiatów" zwracały już uwagę dzienniki miejscowe, między innemi „Paiz" umieścił szereg ostrych artykułów, omawiających urządzenia tamtejsze.

Ciekawe rzeczy.

Czem kwiaty nęcą owady: kolorem płatków, ich formą, czy też zapachem — to do tej pory było nierozstrzygnięte. Jak wiadomo, owady przy zapładnianiu roślin odgrywają rolę bardzo ważną. Większość naturalistów, badających tę kwestję, uważa kolor kwiatów za główną, jeżeli nie jedyną przyczynę przywabiania owadów przez rośliny. W jednakowych warunkach kwiaty jednej i tej samej rośliny zwabiają tem większą liczbę owadów, im jaskrawsze posiadają kolory. Niektórzy uczeni powątpiewają, by owady mogły nęcić kolory kwiatów, lub ich budowa i uważają

za prawdopodobniejsze, iż owady podlegają wpływom zapachów, wydzielanych przez kwiaty. Wiadomo, iż owady nie pozbawione są zmysłu powonienia i tak: pszczoły lecą do miodu, muchy do padliny i t. p. Trzeba jednak przyznać, iż co się tyczy kwiatów, ich kolor gra tu niepoślednią rolę. Profesor Plateau w Genewie po długich badaniach rostrzygnął wątpliwości w tej kwestji, przynajmniej odnośnie do jednej rośliny. Do doświadczeń, naturalista używał georgiń, rosnących pod murem pokrytym winogradem, na którego zielonem tle odbijały doskonale wspaniałe kwiaty georgiń, nęcących mnóstwo owadów. Należy przytem wziąść pod uwagę, iż w sąsiednich ogrodach i na łące sąsiadującej z ogrodem profesora, rosło mnóstwo innych kwiatów, które mogły również nęcić owady. Żeby określić stopień wpływu jaskrawych kolorów georgiń na owady, profesor Plateau wyciął cztery kwadraty wielkości 8 do 9 centymetrów z papieru liliowego, czerwonego, białego i czarnego i za pomocą szpilek umocował je na czterech kwiatach w taki sposób, iż skrajne kwiatki słabo, lub wcale niezabarwione były pokryte, a pozostały widoczne tylko środkowe płatki lejkowate. Można było mniemać, iż owady będą unikały kwiatów w części zakrytych i zmienionych i że dadzą pierwszeństwo kwiatom nieprzykrytym. Okazało się jednak wręcz przeciwnie. Owady leciały ku żółtym środkowym płatkom, nie zrażając się tem, iż listków zewnętrznych kwiatu wcale nie widać. W ciągu godziny, w czterech przykrytych kwiatach gościło trzydzieści owadów. Ich liczba nie zmniejszyła się i wtedy, gdy małymi płatkami papieru przykryto i listki środkowe, tak, iż zdała kwiat utracił zupełnie pozory kwiatu. Z początku, owady widocznie zraziła ta zmiana, lecz gdy udało się niektórym przeleźć pod papierem i dostać się tym sposobem do kwiatu, inne poszły za ich przykładem. Doświadczenie to naocznie stwierdziło, że barwa i forma georgiń, bez względu na jaskrawość, jeżeli wywierają jakikolwiek wpływ na owady, to w każdym razie bardzo mały.

Za pierwotnych mieszkańców Chin uważane jest dotąd plemię środkowoazjatyckiego pochodzenia, zwane „Miaotse." Ten najstarszy naród, którego powstanie odnoszą do czasów przedhistorycznych, zwrócił na siebie uwagę znanego etnografa niemieckiego, profesora Bastiana, który badaniom nad nim poświęcił znaczną część swej działalności naukowej. „Miaotse" odróżniają się od chińczyków, mongołów i mieszkańców Mandżurji małym wzrostem i rysami twarzy. Pod naciskiem plemion chińskich, „Miaotse" przesiedlili się od niepamiętnych czasów do południowych prowincyi Chin. Do tej pory, resztki tego pierwotnego plemienia spotykają się jeszcze w górach, wznoszących się na południe od rzeki Żółtej i na wyspie Hajnanie. Potomkowie „Miaotse" zamieszkują także niektóre miejscowości w prowincjach Kuang-Li i Kwejt Szu, łącznych z Indostanem. Prawie cała ludność rzeki Kanton, osiedlona przy brzegach, lub pędząca życie na trawach i łódkach, pochodzi z tego plemienia. „Miaotse" od dawna przyswoili sobie język chińczyków, lecz z powierzchowności łatwo odróżnić ich zarówno od chińczyków, jak i mongołów, z którymi nie mają nic wspólnego. Język ojczysty „Miaotse" jest nieznany, lecz o ile sądzić można z wymowy, pod względem filologicznym zaliczeni być mogą do plemion, zamieszkujących Indo-Chiny, które, podobnie jak i „Miaotse", schroniły się na południe przed swymi nieprzyjaciołmi chińczykami. Profesor Bastian przedsięwziął obecnie drugą, czy też trzecią podróż do Azji wschodniej, w celu zebrania nowych szczegółów o tych pierwotnych mieszkańcach Chin i rozwiązania zagadki, dotyczącej ich przedhistorycznego pochodzenia.

Królowa Wiktorja w d. 20 czerwca rozpoczęła sześćdziesiąty rok swego panowania. Istotnie upłynęło 59 lat od chwili, gdy 20 czerwca 1837 r. arcybiskup Canterbury i lord szambelan, którym podówczas był markiz de Comyngham, wysiadali z karety pocztowej przed pałacem Kensington po powrocie z Windsoru, gdzie król Wilhelm IV skonał o godz. 2 min. 12, by oznajmić młodej księżniczce Wiktorji, iż od trzech godzin jest królową zjednoczonych królestw Wielkiej Brytanii i Irlandji. Jeden tylko monarcha angielski Jerzy III panował lat pięćdziesiąt dziewięć, trzy miesiące i cztery dni. Po nim panował najdłużej Henryk III, mianowicie 56 lat i Edward III, który piastował berło królewskie przez lat 50. Szczególne jest to, iż każdy z tych panujących był trzecim z kolei tegoż imienia.

O zabarwieniach morza ogłosił prof. J. Thoulet z Nancy rozprawę, z której podajemy tu kilka szczegółów. Właściwa barwa czystej wody jest błękitna, rozpuszczone w niej wszakże, lub rozdzielone substancje nadają jej odcień żółty, zielony, czerwony, lub brunatny. Wypływające zaś ztąd ostatecznie zabarwienie wody morskiej jest, jak mówią matematycy, funkcją różnych zmiennych, przyczyn jakiemi są: 1) Głębokość wody. 2) Barwa dna. 3) Natężenie błękitu nieba. 4) Wzniesienie słońca nad poziom. 5) Temperatura i zawartość soli, które zmieniają spółczynnik załamania wody. 6) Ruch powierzchni i kierunek biegu fal względnie do obserwatora. 7) Natura, wielkość i ilość ciał mineralnych, lub roślinnych, w wodzie zawieszonych, jak np. wodorostów. 8) Obecność zwierząt mikroskopowych i ich ruchy, które po części zależą od temperatury i stanu pogody. Wszystko to zatem prowadzi do równania bardzo zawiłego. Różne morza otrzymały nazwy od panującego w nich zabarwienia. Morze Żółte zawdzięcza swą nazwę zabarwieniu mułu, znoszonego przez Hoang-Ho; morze Zielone, t. j. zatoka Perska, drobnym zwierzątkom; prąd Czarny, Kuro-Siwo japończyków, wyróżnia się nasyconym swym błękitem od barwy morza Żółtego. Morze Białe ma nazwę swoją od mas lodowych i śnieżnych, które je przez pewną część roku pokrywają; morze Czerwone zabarwione jest ławicami koralowemi, jako też obficie tam rozrastającym się wodorostem Trichodesmium; morze Czarne nazwane jest od chmur i burz, które powierzchnię jego często zaciemniają. Tak zwane morze Mleczne, dostrzegane często na Oceanie Indyjskim, gdy powierzchnia jego w nocy podobna jest do rozległego pola śnieżnego, jest tylko pewną odmianą świecenia morza, które sprowadza bacillus phosphorescens.

Reklama.

„Jeżeli ktoś ma towar do zbycia, a nie stara się zawiadomić o tem kół szerszych, to sam sobie będzie winien, jeżeli ogłoszenie to zostanie z czasem uczynione przez komisarza sądowego, lub syndyka upadłości".

Zamiast silić się na odpowiedź, posłuchajmy, co mówi o niej „ojciec humbugu", — człowiek, który całem swojem życiem dowiódł, iż zasady sztuki reklamowania do dna zgłębić potrafił, mianowicie Barnum.

„My wszyscy, — tak głosi ten wybitny myśliciel „sui generis", — którzy pracujemy w zawodzie publicznym i pragniemy zapewnić mu powodzenie, zależni jesteśmy przedewszystkiem od poparcia publiczności. Prawnicy, doktorzy, artyści, śpiewacy operowi, profesorowie i prezesowie kolei żelaznych, wszyscy bez wyjątku z publicznością tą ciągłą styczność mieć musimy. Zadaniem też naszem powinno być dostarczanie dobrego towaru i zadawalanie jej.

„Gdy więc posiadasz jaki przedmiot, który klientom swym w rzeczy samej podobać się może, gdy czujesz, że wart jest pieniędzy, jakich żądasz, daj o tem wiedzieć jak najszerszemu ogółowi.

„Ogłaszaj, reklamuj w rozmaity sposób, ale zrozumiej to, iż lepszy nawet towar, jeżeli jest tylko małemu kółku znany, musi leżeć u ciebie, żadnych nie przynosząc korzyści.

„W kraju, gdzie czytelnictwo jest dość rozpowszechnione, nierozwagą byłoby pozbawiać się tak ważnej dźwigni, za pomocą której każde słowo twoje do każdego może dojść domu. Nadchodzi dziennik, wszyscy od głowy rodziny, aż do dzieci przerzucają go skwapliwie. Gdy więc ty, nie opuszczając pracy, pilnujesz interesu, wieść o nim przebiega głów tysiące; nawet gdy ty śpisz, to inni zajmują się twemi wyrobami.

„Cała filozofja życia polega na tem, aby najpierw zasiać, a potem zbierać. Tak postępuje rolnik. Sadzi kartofle, rzuca w ziemię garść zboża, później zaś idzie do innych zajęć. Żniwo wreszcie nadchodzi i ziarno powierzone glebie, które bez jego pomocy pracowało już dalej, pozwala mu obfite zbierać plony. Niech nie żąda żniwa ten, kto nie zasiał".

Pewien francuz utrzymuje, iż kupiec ogłaszający towary, powinien „śpiewkę reklamową powtarzać dopóty, aż wszyscy będą wiedzieli, kim on jest i czego u niego dostać można. Reklama przerwana w zawiązku, jest po prostu zbyteczną i nieprodukcyjną".

„Czytelnik gazet — tak mówi dalej — nie widzi zazwyczaj ogłoszenia umieszczonego po raz pierwszy, za drugim razem spostrzega je, ale nie czyta. Za trzecim czyta przelotnie, za czwartym zastanawia się nad ceną danego przedmiotu, za piątem ogłoszeniem mówi swojej żonie, za szóstem gotów jest kupić, za siódmem idzie i nabywa, choćby mu nawet rzecz potrzebną nie była".

Na samem wstępie autor katechizmu reklamowego głosi, iż „minęły bezpowrotnie owe błogie czasy, kiedy kupiec, dumny z posiadania doskonałych towarów, rzetelnej miary i uczciwego prowadzenia rzeczy, mówił: kto potrzebuje, niech szuka. Minęły też czasy symbolicznych znaków, jak okręty, winogrona, klucze złote itp. Dziś kupiec choćby miał firmę z wiekową tradycją i najlepszy towar pod słońcem, choćby był idealnie uczciwy i w ciągnieniu zysków umiarkowany, jeżeli się nie będzie przypominał publiczności, musi zginąć. Poprostu ludzie zapomną o nim i pójdą do tych, którzy nie żałują pieniędzy na reklamy i zachęcają tą drogą do kupna, głosząc, że mają towar dobry i po niskich cenach".

Kupcy obawiają się też wskazanej w broszurce alternatywy i reklamują, jak kogo stać, według zasobów dowcipu, pomysłowości i środków pieniężnych.

W Europie istnieją setki firm, łożących na reklamy sumy znacznie większe może od sum obrotowych fabryk warszawskich i innych, które również reklamują. Inaczej też organizuje reklamę fabrykant produkujący swoje wyroby dla całego świata, inaczej wytwórca, którego produkty znajdują zbyt w jednem mieście, lub szczupłej okolicy. W żadnym też razie nie można podzielać poglądów autora broszurki, gdy mówiąc o kupcach nie używających reklamy, wygłasza podobne zdanie:

„Rozumiemy, iż ten lub ów przemysłowiec nie lubi reklam, lecz na tę wytworność gustu można sobie jedynie pozwolić wówczas, gdy się ma pozycję bardzo silną. Może mieć takie upodobanie Krupp, który jest niemal monopolistą, a gdyby ktoś zrobił wynalazek, stanowiący epokę w zakresie uzbrojeń, to w przeciągu kilku lat mógłby zachwiać pozycją wielkiego fabrykanta w Esen".

Teatr — koncerta — widowiska.

Gąsienice, komedja w 3 aktach p. Konara, przerobiona z powieści tegoż autora, którą w tym czasie widzieliśmy, jako „premierę" w lwowskim teatrze – i ze względów autorskich, wewnętrznych aspiracyj, i ze względów jej literackości i artystyczności, musimy zaliczyć do scenicznych efemeryd. Co, właściwie, autor chciał dowieść w *Gąsienicach*, co chciał, nawet, powiedzieć, tego się chyba domyśleć tylko można, a rysunek postaci od pierwszej do ostatniej, nie jest, wprawdzie, co do samej obserwacji, pozbawiony pewnej samodzielności, ale jest on, właściwie, wzorowany na nieuchwytnych reminiscencjach.. Wplecenie zaś snu do komedji, uważamy za pomysł: raz zużyty, a oprócz tego, jak w *Gąsienicach* gwałcący prawdę życiową w sposób niczem nieusprawiedliwiony. Kurant ze „Strasznego dworu", nietylko nie ocalił tej sennej sytuacji, lecz dobił ją zdawkową, ni w pięć, ni w dziewięć, melodramatycznością...

To przyjęcie, jakie *Gąsienice* miały na lwowskiej scenie, przyjęcie, zresztą bardzo mierne zawdzięcza autor wybornej grze naszych artystów. Co prawda, role w *Gąsienicach* mają, że się tak wyrazimy, słabe aktorskie naboje, ale, jak nie można mocno huknąć, to trzeba choć przytupnąć...

Każdy i każda z grających, co mogli, to zrobili. Ponieważ sztuka po trzech razach zeszła ze sceny, na pamiątkę notujemy grających, a mia-

nowicie: pp. Bednarzewska (Borsukiewiczowa), Kwiecińska (Halina), Zimajer-Rapacka (Olesia), Gostyńska (Nowakowska), Rybicka i Jankowska (pokojówki), Feldman (Nowakowski), Hierowski (Borsukiewicz), Kliszewski (baron), Nowacki (akademik). — *Nietensam.*

Nowa operetka *Chichotka*, odznacza się świetną prawdziwie, wystawą, wysłaną ślicznymi kostjumami i dziarskimi, a charakterystycznymi tańcami, które zręcznie, efektownie i umiejętnie zawsze aranżuje u nas p. Żymirski.

Muzyka *Chichotki* jakiegoś niemieckiego kompozytora Taunda, o którym, przyznajemy się w pokorze, po raz pierwszy w życiu słyszymy, nie wychodzi po za granicę szarej, walczykowatej kompozycji, której, gdy się słucha, to można także słuchać czego innego, a gdy się przestanie słuchać, to się zapomina o tem, co się słyszało...

Sens, jaki taki, choć, oczywiście, ciągniony za włosy, jak zwykle w operetkach, uratował nieco tłómacz polski, bo pp. Landesberg i Stein puścili się na bystre wady nonsensów i ignorancji biorąc treść z dawniejszych czasów polskich, o których mają takie pojęcie, jak hotentot o kompocie z ananasów. Rzecz prosta, że dyrekcja i reżyserja wyposażyła operetkę we wszystkie wdzięki błyskotliwej lekkiej muzy, a jeśli, w ogóle, na całej linji dekadencja w „twórczości" operetkowej, a właściwie zapanował operetkowy *tabes*, to nic nie pozostaje, jak zdeboszowanych kompozytorów operetkowych i ztremensowanych libresistów przybrać w szykowną garderobę — jeszcze tam pod przykryciem, czegoś się można domyślać... Grano u nas *Chichotkę* przewybornie w ogóle i w szczególe. Chichotką była p. Kliszewska, grała i śpiewała z ujmującym wdziękiem, ze smakiem — ślicznie!...

Z pysznym humorem grali pp. Myszkowski, Bogucki i Lelewicz. Dobrze i ładnie śpiewali p. Bohusówna i p. Orzelski: dzielny i tęgi tenor. *Inny.*

Wznowienie tragedji Delavigne'a: *Ludwik XI*, dało sposobność p. Żelazowskiemu przypomnieć się w roli, w której może się popisywać po całej Europie. Rzeczywiście, wspaniale gra Żelazowski króla Ludwika i odtwarza tę postać z taką subtelnością, artystyczną, że w Żelazowskim ginie zupełnie Żelazowski, a wygląda wszystkiemi porami król Ludwik... Tragedja, odegraną była, w ogóle, bez najmniejszego zarzutu. Przedziwnie grał zakonnika p. Chmieliński, z potężną werwą. Nemours'a p. Woleński — swobodnie i z humorem grali porę wieśniaczą pp. Bednarzewska i Walewski, a i resztę, ról wykonano dobrze i poprawnie przez p. Hierowskiego, Kwiatkiewicza, Swarzyczewskiego, Hryniewicza i Jasielskiego. — Rolę Maryni zostawiliśmy na ostatku umyślnie. Ze względu, że ją grała panna Gottowt, debiutantka, wymaga osobnej wzmianki, Nie cofamy tego, cośmy powiedzieli o p. Gottowt, gdy po raz pierwszy wystąpiła w 1. aktowym dramacie: *Marynarz*. Materjał to nie zwykły na artystkę dramatyczną serjo, z odgarnięciem wszelkiego liryzmu. Nad organem mowy, dziś nie postawionym jeszcze, jak się należy, p. Gottowt musi i powinna pracować — potrzebuje ona nabrać giętkości, modulacji, estetycznego wdzięku scenicznego i trzeba nauczyć się wydobywania siły dramatycznej, której w głosie panny Gottowt znajduje się bardzo wiele, ale która drzemie, albo ściśniona jest niedoświadczeniem aktorskiem, lub nieumiejętnością zastosowania jej. Aby deklamacyjny organ mowy kształcił się i, aby gra nabierała koniecznej swobody i rutyny — panna Gottowt pomiędzy swojemi większemi rolami dramatycznemi, powinna być obsadzona w mniejszych i małych, nawet rolach. Dla rozwoju pięknego talentu tej początkującej, młodziutkiej, artystki, taka praktyka sceniczna, jest konieczna. Jeśli, przy osobistej pracy i studjach pod dobrem kierownictwem pedagogicznem, przyjdzie do pomocy praktyka sceniczna, z panny Heleny Gottowt scena posiędzie artystkę dramatyczną nie zwykłej miary. *Nietensam.*

Najnowsza literatura włoska dramatyczna jest prawie u nas nie znana. Bardzo mało mamy z niej przekładów. To też dobrze się stało, że obecna dyrekcja lwowskiego teatru wystawiła w zeszłym tygodniu po raz pierwszy trzyaktową komedję Roberta Bracco p. t.: *Niewierna*. Z nazwiskiem tego autora spotykamy się po raz pierwszy. Przekładu komedji pięknym językiem, prawdziwie po literacku, dokonał p. Kasprowicz. Komedja, jako dzieło literackie, jest wartości niepośledniej. Autor zrzekł się w niej wszelkich efektów scenicznych i wprowadził w akcję tylko trzy osoby, a i z tych, chodziło mu tylko o jedną kobietę, którą wśród męża i, niby kochanka chciał dokładniej uplastycznić pod względem psychologicznym. Hrabina Klara w *Niewiernej*, jest nieomal typem patologicznym. Jest to kobieta niezmiernie ciekawa, jako kobieta — możnaby nad nią studja robić. Włoska literatura dramatyczna odznacza się charakterystyczną zmysłowością — Klara także jest uosobieniem zmysłów, ale ufa sobie i sprowadzić się do upadku nikomu nie da. Na dnie duszy tej kobiety jest duma i sumienie. Walkę z mężczyzną młodym, ładnym i rozpustnikiem, walkę niebezpieczną, gdzie wchodzi w grę cześć kobiety i honor mężatki, podejmuje z nieustraszoną odwagą ufna, że wyjdzie zwycięzko i, że wtedy mogłaby tylko upaść, jakby sama chciała to zrobić. Tak też się w komedji stało — Klara upada, ale w ramiona męża, który po rozmaitych perypetjach uwierzył, że „niewierna", jest wierną, mimo zmysłowości i dumy, a może, właśnie, przez dumę. —

Postać Klary w *Niewiernej* daleko wybiega po za zwykłe postacie kobiet, które się w życiu i na scenie widzi. Toż i odtworzenie jej przez artystkę wymaga nietylko aktorskiego talentu, ale głębszego wniknięcia psychologicznego. Pani Stachowicz w ogólnych zarysach dobrze postawiła tę postać, niektóre sceny miała ślicznie — były jednak i takie, które stę prześlizgnęły za płytko i za powierzchownie przepłynęły ponadto bystrej wodzie akcji i djalogów.

Mężem „niewiernej" był p. Żelazowski. Rola to niewielka i autor zrobił ją umyślnie nie bardzo wyraźną. Dużego talentu p. Żelazowskiego szkoda na taką rolę — swoją drogą grał ją z całą starannością znakomitego artysty. Rolę, kochanka, któremu się, przynajmniej, zdawało, że nim był, rolę także użytą przez autora do pomocy illustrowania postaci Klary, grał p. Wostrowski z właściwą mu werwą i swobodą — gra, jednak ta, zasadzała się jedynie prawie na djalogu.

Więcej ról nie ma w *Niewiernej*, bo lokaj i pokojówka zaledwie mają po kilka frazesów. *Nietensam.*

---

†

Umarł we Lwowie śp. Marceli Zboiński, artysta zaszczytnie znany na scenach polskich i wysoko ceniony, nietylko przez miłośników teatru, ale i przez bardzo szeroką publiczność.

Był to talent niezwykłej miary — ituicyjny i oparty o głębszą inteligencję. Zmarły artysta w odtwarzaniu postaci na scenie nie używał sztucznych i błyskotliwych efektów, lecz niezrównaną prostotą i naturalnością wywołał potężne wrażenie dlatego właśnie, że ta prostota była objawem prawdy życiowej. Grę jego cechowała też nieporównana szczerość i akcent niczem nie skażonej dykcji, która rysunek postaci odtwarzanej utrzymywała zawsze w najszlachetniejszym stylu sztuki aktorskiej. Ze śmiercią śp. Zboińskiego ubył też jeden z tych nielicznych aktorów, którzy umieją chodzić na scenie w kontuszu i czuć się w nim, jak we własnej skórze. Śp. Marceli Zboiński pochodził z Rzeszowa. Nie licząc pracy w innych teatrach, na scenie lwowskiej pracował blisko lat trzydzieści. Właśnie, po paroletnim pobycie na scenie krakowskiej przeniósł się do Lwowa i tu dokonał żywota. Przeżył lat przeszło 50. Pozostawił osieroconą żonę i dwie córki z których jednę poślubił niedawno znany artysta i autor dramatyczny p. Ryszard Ruszkowski. Przez śmierć śp. Zboińskiego sztuka polska poniosła dotkliwą stratę, której nie tak łatwo będzie zastąpić. Cześć jego pamięci!

Z przyjemnością i jako fakt niezwykły w naszej kronice teatralnej, zapisujemy na tem miejscu, że przedstawienia dramatyczne lwowskiego teatru, co tydzień w Przemyślu, doznały tam takiego serdecznego przyjęcia, że nietylko wszystkie bilety rozchwytywane są w lot, lecz czoło tamtejszej inteligencji żywi wdzięczność dla naszej dyrekcji, która daje możność zobaczenia sztuk granych prawdziwie po europejsku. Artyści też nasi są przedmiotem serdecznych owacyj w Przemyślu. Te tygodniowe przedstawienia w Przemyślu rozpoczęła komedja Lubowskiego: *Królewicz*. Sztuka ta pozyskała rzetelne powodzenie, oklaskiwano ją też gorąco. Na drugie przedstawienie wybrano niedawno grany dramat Schnitzlera pt. *Miłostki*. Z Przemyśla zapewniają nas, że wszystkie te tygodniowe przedstawienia będą rozkupione.

Praktyczne wiadomości.

Czemu raki po gotowaniu, czerwienieją? Pytanie to zadał sobie zapewne już niejeden, nie mogąc na nie znaleźć odpowiedzi. Przyczyną tego dziwnego zjawiska jest, że w skorupie (pancerzu) raków i homarów znajdują się dwa barwniki: czarny (często niebieski) i czerwony. Ponieważ pierwszy barwnik (czarny lub niebieski) jest w wodzie gorącej rozpuszczalny, a drugi (czerwony) nie, przeto po ugotowaniu, zatrzymują raki tylko kolor czerwony. W dawniejszych czasach, podawano na książęce stoły, jako coś nadzwyczajnego, żywe czerwone raki, a ponieważ nie były takowe sztucznie zafarbowane, przeto pokazuje się, że dawniejsi kucharze znali sztukę usuwania ze skorup raków czarnego barwnika, drogą na zimno, bez pozbawienia życia raków. Środkiem tym rozdzielającym owe dwa barwniki, jest wedle pisma „Prometheus" — alkohol, który rozpuszcza barwnik czarny skorup, nie działając na czerwony. Zresztą (wedle Tschudi'ego) istnieją w strumyku pod Solothurn żywe raki, koloru czerwonego, nazwane „rubinos", nie posiadające wcale barwnika czarnego. Z drugiej strony, istnieją także w górskich jeziorach w Sabaudji i w niektórych wapiennych rzekach górskich raki, które po ugotowaniu, nie czerwienieją, ale zachowują kolor ciemno-bronzowy.

Różne sprawy.

Może żadna gałęź przemysłu nie jest tak mało u nas rozwinięta, jak sukiennictwo. A przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gałęź to nader ważna. Nie mówiąc już o zapotrzebowaniu ludzi prywatnych, pomyślmy tylko, ile to pieniędzy idzie z kraju do fabryk morawskich, czeskich i austrjackich na zakupno sukna na mundury wojskowe, policji, straży ogniowych, skarbowych, dalej na stroje sokole, a wreszcie w ostatnich czasach na mundurki dla młodzieży szkolnej.

Dotychczas tylko w Galicji zachodniej, w Żywcu, istniała krajowa fabryka sukna Boguckiego, Kossuta i Kamockiego, cała zaś wielka wschodnia część kraju była pozbawioną takiego zakładu przemysłowego. To też z prawdziwą radością przyjmujemy wiadomość, że zaszczytnie znana fabryka żywiecka założyła swoją filję i skład we Lwowie. Dzięki temu mamy składy krajowego zakładu fabrycznego, którego jak najusilniejsze poparcie leży zarówno w interesie jednostek, jak i w interesie publicznym, przynajmniej do czasu. Powiadamy do czasu, bo mamy nadzieję, że wszystkie inne miasta swoje zapotrzebowania wyrobów sukiennych będą pokrywały z fabryki żywieckiej.

Nigdzie, bowiem, w kraju narzekania na ucisk ekonomiczny obcych, na zły stan polskiego przemysłu i handlu nie są tak usprawiedliwione, jak w Galicji, nigdzie zależność ekonomiczna od żywiołów nieswoich nie jest tak wielką, jak w Galicji.

Biadanie na nędzę kraju, czy miasta, lub okolicy, teoretyczne wywody na temat potrzeby podniesienia przemysłu, słowem wszystkie platoniczne uczucia na nic się nie przydadzą, w najmniejszym nawet stopniu nie zaradzą złemu. Tu trzeba czynu. Trzeba, abyśmy sobie wzajemnie dali słowo, że nie będziemy więcej sprowadzali sukna berneńskiego, albo innego zagranicznego, lecz że będziemy zaopatrywali wszystkie nasze potrzeby w fabryce krajowej.

Dotychczas, dobre chęci jednostek natrafiały na znaczne trudności. Dziś, gdy we Lwowie zakład żywiecki otwiera swoje zastępstwo dla wschodniej Galicji, nie ma żadnej wymówki dla tych, którzyby „chcieli" popierać przemysł krajowy a „nie mogą".

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Panów prenumeratorów w Ameryce prosimy o odesłanie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż upominanie się przez osobne karty korespodencyjne, jest uciążliwe. Administracje pism amerykańskich bez ceremonji drukują publicznie nazwiska zalegających w opłacie prenumeratorów — chyba i my zaprowadzimy ten sposób. I na to jeszcze zwrócić uwagę musimy, że pisma polskie zasługują a poparcie obywatelskie, a nie na lekceważenie ich pracy.

Pan Kary. Nie do nas to należy.

Z. W, D. Artykułu tego drukować nie możemy, choć masz pan słuszność.

Mogeczka. Chociaż „jej oczy, aż blask mroczy" i mimo „długich warkoczy" — wiersz pani do kosza skoczy.

Wujaszek. Ani do „Gońca i Iskry", ani do „Wesołego Kurjerka".

Ce. w Neu-Yorku. W sprawy polsko-amerykańskie nie wdajemy się, bo ich dokładnie nie znamy.

Gg—z. w Londynie. Posełamy do tamtejszego towarzystwa polskiego.

Gru. w Krakowie. Zamieścimy.

Nadesłane.

Drukarnia p. Filipa Kawałka w Husiatynie, wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące, oraz poleca wielki wybór **przyborów do pisania,** po cenach umiarkowanych. Nadto utrzymuje stale na składzie prawdziwą ***herbatę chińską.*** (6652-2-4)

Wyborna restauracja na dworcu kolejowym, umiejętnie prowadzona przez p. **Siwika w Jaśle,** poleca zawsze doskonałe potrawy świeżo przyrządzone, na świeżem maśle przed nadejściem każdego pociągu, Przeto poleca się tę restaurację podróżującej publiczności, która w restauracji kolejowej p. Siwika, jak najlepiej obsłużona będzie. Najważniejsza, że ceny w tej restauracji za potrawy są możliwie najniższe. Wszelkie napoje z najpierwszych renomowanych źródeł sprowadzane. (6667—1)

Wyborne ciasta zawsze świeże, oraz wszelkie rozolisy, kawę i herbatę wyśmienitą, doborowe cukry i torty poleca cukiernia pp. **Rehmana i Hendricha, w Krakowie w Sukiennicach.** Dla pań i niepalących panów, oddzielne salony, urządzone z komfortem i zaopatrzone w czasopisma polskie, francuskie i niemieckie. (6653—4—2)

Adwokat krajowy

Dr. Włodzimierz Godlewski

otworzył kancelarję

we Lwowie, ul. Akademicka l. 12.

(6574—8—4)

Znaną z dobroci **herbatę rosyjską** poleca handel korzenny pod firmą ***Władysława Adamowicza w Brodach,*** w następujących wypróbowanych gatunkach. *„Familijna"* bardzo dobra po 1 złr. 40 ct. *„Melange de Moscou"* najlepsza po 2 złr. 50 ct. *„Imperial"* zwaną Carski bukiet po 3 złr. 50 ct. *„Wysiewki"* z najlepszych herbat po 1 złr. 20 ct. za funt rosyjski. Również znakomitą kawę *„Sypyusz"* 5 kil. franko 9 złr. 50 ct. (6654—4—2)

Doskonałe materjały drzewne dla budowy, oraz wielki skład drzewa suchego i fornerów orzechowych, gruszkowych i innych dla pp. stolarzy poleca po cenach umiarkowanych. Abr. Ehrenpreis we Lwowie, ul. Słoneczna 37. (6663—2—2)

Zwraca się uwagę na zamieszczone w niniejszym numerze ogłoszenie o fabryce krochmalu połyskowego „**Bażanta**", który jako najlepszy produkt krajowy zasługuje na uznanie przed podobnymi wyborami zagranicznymi.

(6661—3—2)

Z niebywałem komfortem i elegancją urządzony zakład fotograficzny p. **D. Mazura** *przy ul. Pańskiej l. 5. we Lwowie.* Zastosowano tam wszelki najnowsze wynalazki i ulepszenia dla wykonania fotografij, to też fotografje pochodzące z tego zakładu nawet najwybredniejszych zadawalniają — gdyż wykonane są prawdziwie artystycznie, a pomimo to ceny takowych bardzo umiarkowane. (6578—4—3.)

Niniejszem podaję do wiadomości, że otworzyłem

Biuro spedycyjne i przewozu mebli

we Lwowie,

w pasażu Hausmana l. 6.

Ponieważ przez kilka lat w tutejszych biurach spedycyjnych pp. Piotra Wajdy i Edwarda Hessa, jako kierownik zatrudniony byłem, jestem w tem miłem położeniu, że wszelkim wymaganiom Szanownej P. T. Publiczności w zakresie spedycji i przewozu mebli, jak najlepiej zadość uczynić mogę. Podejmuję się opakowywania mebli, dostarczam w razie potrzeby własnych patentowych wozów do przewozu mebli, niemniej takichże wozów należących do firmy **Hausnera & Co. w Wiedniu I. Gisellastrasse Nr. 3., której jestem zastępcą.** Podejmuję się też spedycji towarów i przesyłek koleją we wszystkich kierunkach w kraju i zagranicę. (6638-4-2.)

Polecając się względom Szanownej P. T. Publiczności i prosząc o poparcie kreślę się

z głębokim szacunkiem

J. W. Schwarz.

Wł. Klimała

(dawniej O. Kreis) **w Podgórzu.**

CUKIERNIA

poleca wyborowe

ciasta, cukry i torty.

Zamówienia z prowincyi załatwia dokładnie i szybko. (6639-2-2.)

Na 5 procent

przyjmujemy wkładki od niezłonków i członków naszego Stowarzyszenia. Biuro otwarte w dnie powszednie od 4—7 popołudniu **ulica Skarbkowska 4.**

Zarejestr. lwowska Spółka zaliczkowa Stowarz. urzędników z poręką nieograniczoną.

L. Goltental członek dyrekcji. Dr. K. Łuczkiewicz zast. prezesa.

(6640-3-2.)

Przedsiębiorstwo przewozowe i transportu mebli.

CARO i JELLINEK

Lwów, Sykstuska 46. Telefon 408.

Wiedeń I. Börsengasse 9, — Budapest Arany Janos utcza 34.

Specjalność!

Podwójne wozy szczególnie stosowne dla większych przesyłek.

(6637-2-2.)

Najpierwsza krajowa fabryka

BULIONU

ZYGMUNTA SOLKOWSKIEGO

W KRYSOWICACH p. MOŚCISKA

odznaczona medalami, dyplomem honorowem na wystawach krajowych.

Według orzeczenia Szanownego Towarzystwa lekarskiego krakrakowskiego, opartego na badaniach przedsiębranych przez Komisyę przemysłową tegoż Towarzystwa, pozostającą pod przewodnictwem Prof. Dra Korczyńskiego, „bulion ten jest wydatny, ma smak przyjemny, daje się dłuższy czas przechowywać i odznacza się korzystnie znakomitą ilością istot wyciągowych. Ponieważ według rozbioru, dokonanego przez Prof. Uniw. Jagiell. Dr. Olszewskiego bulion ten zawiera więcej ciał organicznych, aniżeli rozmaite ekstrakta mięsne zagraniczne (Liebiga, Buchenthala, Kemmericha, Brühla i t. p.), co do ilości azotu z niemi na równi a niektóre nawet przewyższa, przeto może być używany z korzyścią nietylko jako bulion w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale nadto w zastępie zagranicznych wyciągów, czyli ekstraktów mięsnych".

Do nabycia we wszystkich większych handlach korzennych.

Tylko wtenczas prawdziwy jeżeli jest w tabliczkach w kształcie **czekolady z napisem Z. Solkowski.** (6515—10—9)

Żywiecka

Fabryka Sukna

„Bogucki, Kossuth, Kamocki"

wyrabia wszelkie tkaniny w zakres sukiennictwa wchodzące, jako to: sukna gładkie dla Duchowieństwa świeckiego i zakonnego, dla Szkół, Sokołów, Straży ogniowych, Skarbowości, Wojska i t. p. korty, szewioty, palmerstony i t. p. na ubrania cywilne, tkaniny z wełny czesankowej (kamgary), wielbłądzkiej i t. d., uznane przez znawców, jako wyrobione z dobrej wełny, starannie wykończone i stosunkowo tanie. Na sezon obecny fabryka przygotowała odpowiedni dobór towaru w modnych barwach i wzorach, który nabywany być może z pierwszej ręki po cenach fabrycznych: w składach głównych: 1. We Lwowie B. Mikuliński & L. Krokowski na placu Marjackim, hotel Żorża. 2. W Krakowie (kierownik p. S. Łysakowski) w Bazarze krajowym na ulicy Wiślnej św. Anny. W Stanisławowi w Składzie fabrycznym (kierownik p. M. Sierakowski) przy ulicy Kaźmierzowskiej dom Wgo Dankiewicza. Składy te są w stosunku z najlepszymi krawcami miejscowymi, którzy zobowiązali się wykonać roboty według cen możliwie umiarkowanych. (6641-6-3)

FERDYNAND KINDEL
&
WŁADYSŁAW GERC

we Lwowie,

skład przy ulicy Halickiej liczba 15.

pracownia

przy ulicy Kamińskiego l. 3,

(obok teatru hr. Skarbka)

polecają Szanownej Publiczności swoją kilkakrotnie premiowaną pracownię i skład wszelkich przedmiotów w zakres blacharstwa wchodzących w wielkim wyborze jako to:

Wanny różnej wielkości, wanny nasiadowe, patentowane oszczędne szybkowarki gotujące na każdej naftowej lampie, tusze, klozety, łaźnie domowe, naczynia emaliowane. Wykonuje także pokrycia dachów i wież kościelnych blachą żelazną, cynkową, miedzianą, szyfrem i papą; dalej gzymsy, ornamenty, wszelkie ozdoby cynkowe i okna manbardowe, przy starych budynkach uskuteczniają tak w miejscu, jak i na prowincji wszelkie naprawy i malowania dachów. Przyjmuję także naczynia kuchenne do naprawy i pobielania po najumiarkowańszych cenach. Zamówienia z prowincji załatwia się odwrotną pocztą. (6666-3-1)

C. k. uprzywilejow.

FABRYKA SZKŁA

taflowego i zwierciadłowego

KUPFER & GLASER

Lwów,

ul. Kaźmierzowska l. 28

polecają swe

najlepsze wyroby krajowe

Szkła w taflach

we wszystkich jakościach i rozmiarach zwłaszcza szyby selinowe (6664-?-1) (belgijskie)

Szkło dachowe

kolorowe, matowe i w deseniach,

szkło zwierciadłowe

jak i lustra w ramach i t. p.

oszklenia nowych budowli wykonuje się pod gwarancją najstaranniej. Diament do rżnięcia szkła.

Niniejszem mam zaszczyt donieść Sz. Publiczności, iż z dniem 15. września br. wystąpiłem z dotychczas zajmowanej przezemnie posady prokurzysty firmy Józefa Fraget we Lwowie i założyłem pod firmą:

F. Sussmann i Ska

we Lwowie

Biuro przy ulicy Kazimierzowskiej liczba 28

skład fabryczny wyrobów z chińskiego srebra Sprowadzając towary z pierwszorzędnych fabryk, pierwszej jakości i w najnowszych fasonach, jestem w możności oddać takowe Sz. Publiczności po możliwie najniższych cenach. Nadmieniam, że sprzedaję także na żądanie na spłatę w ratach miesięcznych bez podwyższenia cen. Polecając się łaskawej pamięci Sz. Publiczności, kreślę się

z wysokiem poważaniem

Michał Herschthal.

(6665—3—1)

JAN JANICZEK, zegarmistrz

w Cieszynie (Rynek główny)

poleca swój wielki skład najlepszych zegarków kieszonkowych i zegarów pokojowych po cenach nader niskich. **Proszę o łaskawe zamówienia, a każdy przekona się o rzetelności mojego towaru.**

(6623-6-4.)

Przezacne Panie!

(6657—12—2)

Spróbujcie tylko raz wyprasować „BAŻANTA" krochmalem brylantowym do nacierania, a przekonacie się, że jest **o wiele praktyczniejszy i lepszy od innego.** Żądajcie więc tylko:

„BAŻANTA" krochmal brylantowy

odznaczony dużym medalem srebrnym w roku 1894.

Do nabycia we wszystkich handlach korzennych.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.